

*Poniedziałek, 21 sierpnia*

Wiktor wracał z aresztu śledczego w Katowicach. Było mu tak ciężko na duszy jak nigdy dotąd. Ciemnozielony maluch, którym pokonywał tę kilkudziesięciokilometrową drogę do wioski Kocianowice, niebezpiecznie rzęził. Przez otwarte okna samochodu do środka wciskał się kurz, upał i żałosne odgłosy silnika, który zawodził niczym mechaniczna płaczka.

Wiktor, wpatrzony w pustą drogę przed sobą, zdawał się wszystko to ignorować. Wciąż pozostawał pod ogromnym wrażeniem odwiedzin u więźnia, który jeszcze pół roku temu był jego przyjacielem i wesołym, skromnym człowiekiem, ciężko pracującym, żeby utrzymać rodzinę. W areszcie zobaczył człowieka fizycznie identycznego. Czuł jednak, że to tylko pozory.

Andrzej, bo tak miał na imię, był teraz kimś zupełnie innym. Zło czało się w jego oczach i poraziło Wiktora, gdy tylko pierwszy raz na niego spojrział. Dawny przyjaciel nie próbował też niczego udawać. Ani śladu żalu czy jakiegokolwiek poczucia winy! Nie sprawiał też wrażenia chorego psychicznie, zresztą badania sądowe to wykluczyły. W jakiś sposób, w jeden wieczór, stał się bestią i nadal nią był. Z dumą podkreślał to „przyjacielowi”, który z wytrzeszczonymi oczami z trudem przełykał ślinę.

„Wiesz, Wiktor, jakie to wspaniałe uczucie, patrzeć, jak ktoś zdycha?! Najśmieszniejsze jest to, że ja kiedyś jeszcze wyjdę na wolność, bo nasz nowy, kochany rząd wstrzymał wykonywanie wyroków śmierci, a w niedługim czasie w ogóle ją zniosą.

Tak więc ja albo ucieknę, albo mnie wypuszczą i znów będę się sycił widokiem śmierci!”.

Wiktor, po tej deklaracji, nie potrafił wydobyć z siebie głosu. Zdobył się tylko na zakreślenie drżącą dłonią znaku krzyża. Gest ten Andrzej potraktował jako żart i zarechotał złowieszczo.

Siedem miesięcy temu, po powrocie z pracy do domu, zamordował długim, kuchennym nożem żonę i dwoje swoich dzieci, w wieku siedmiu i pięciu lat. Potem zjadł przygotowaną wcześniej przez żonę kolację, obejrzał film w telewizji i położył się spać. Następnego dnia pewnie poszedłby spokojnie do pracy, gdyby nie przesiąkająca do mieszkania sąsiadów na dole krew. Tak więc sen przerwali mu milicjanci, którzy o czwartej nad ranem wyważyli drzwi i ujrzeli przerażający widok.

Duży, kamienny kościół w Kocianowicach wyraźnie górował nad całą wsią. Wiktor zwolnił i za kościelnym murem skręcił w prawo. Pomalowana na brązowo brama plebanii była otwarta. Maluch wjechał na podjazd i zatrzymał się. Wiktor wysiadł i stanął w miejscu, utkwivszy wzrok w zwalistym ciełe proboszcza. Ten otarł pot z czoła, postawił na ziemi polewaczkę i wolno podszedł do przybysza. Troska malująca się na zaczerwienionej, okrągłej twarzy zupełnie nie pasowała do jego jowialnego oblicza, zawsze tryskającego optymizmem.

– Szczęść Boże, księżo Wiktorze, aż boję się zapytać, jak przebiegło spotkanie z panem Andrzejem – odezwał się proboszcz lekko skrzypiącym głosem.

Wiktor cztery lata temu został wyświęcony na księdza i niedługo potem trafił do Kocianowic na plebanię. Był tu wikarym, bardzo lubianym przez wiernych i poważanym przez proboszcza. Wysoki, szczupły i wysportowany, miał sylwetkę, na widok której w kobietach budziło się pożądanie. Jasne, krótko obcięte włosy, zdobiące kształtną głowę o chłopięcej twarzy i błękitnych oczach, bardziej pasowały do playboya niż myśliciela piszącego doktorat. Ksiądz profesor Jan Kubicki, który był jego promotorem na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, uważał

go za wyjątkowo zdolnego i wróżył młodemu księdzu błyskotliwą karierę. Jeszcze w tym roku zamierzał poprosić biskupa o zgodę na wyjazd Wiktora do Watykanu.

– Naprawdę nie wiem, co o tym myśleć – odpowiedział Wiktor zbolalym, zachrypniętym głosem, który brzmiał, jakby młody ksiądz wrócił właśnie z krzykliwej zabawy. – To... to nie jest Andrzej! Myśli ksiądz, że mamy do czynienia z opętaniem?

– Jestem tylko skromnym proboszczem na spokojnej wsi. Nie znam się na tym, ale jakoś nie chce mi się wierzyć w opętanie trzydziestoletniego, silnego mężczyzny – odparł cicho proboszcz, a po chwili zapytał: – Kiedy proces?

– Jedenastego września – odpowiedział zamyślony Wiktor i skierował się w stronę plebanii.



### *Czwartek, 24 sierpnia*

Jarek mógł się uważać za szczęśliwego człowieka. Kochał swoją żonę Anetę i jeszcze ani razu jej nie zdradził. Od sześciu lat byli małżeństwem. Mieli dwoje dzieci – pięcioletnią Martynę i trzyletniego Kubę. Łagodne usposobienie obojga małżonków sprawiało, że prawie w ogóle się nie kłócili. Był to ewenement w dusznym i brudnym Bytomiu, gdzie oboje dorastali i chodzili do szkoły.

W ich życiu do tej pory wszystko wydawało się wręcz idealnie układać. Po ślubie Jarek zaczął pracować w prywatnej firmie swojego stryja jako hydraulik. Okazał się bardzo zdolny i w ciągu kilku lat stał się cenionym pracownikiem. Niestety dwa lata temu stryj nagle zmarł i firma przestała istnieć. Z prozaicznych powodów – zmarły nie miał dzieci, które mogłyby przejąć interes, a żona w ogóle nie miała do tego głowy.

Jarek spróbował pójść drogą wielu mieszkańców Śląska i zacząć zarabiać w Niemczech. Nie miał z tym specjalnego

problemu, bo jego dziadek ze strony matki był rodowitym Niemcem, pochodzącym z Badenui-Wirtembergii. W niedługim czasie otrzymał upragnione obywatelstwo Republiki Federalnej i niezwłocznie wyjechał z kraju.

Aneta z dziećmi została w Bytomiu, więc starał się znaleźć pracę jak najbliżej. Dobrych fachowców ceniono wszędzie, także w Berlinie Zachodnim. Zatrudnił się tam w firmie wykonującej usługi hydrauliczne. Firmę prowadził również Ślązak, od dwudziestu lat mieszkający w Niemczech. Jarek miał wprawdzie problem z językiem, który znał słabo, ale ostatecznie dawał radę, ucząc się intensywnie wieczorami niemieckiego z pomocą krajana z Bytomia, który pracował tam już od pięciu lat. Gerard, bo tak miał na imię kolega z rodzinnego miasta, był kawalerem i typem tego popijającego luzaka. Miał jednak dobry charakter i Jarek zawsze mógł na niego liczyć.

Na początku osiemdziesiątego dziewiątego roku do Berlina Zachodniego przyjechała również Aneta z dziećmi. Zamieszkali w trzypokojowym mieszkaniu w dzielnicy Zehlendorf i żona z właściwą sobie pasją zajęła się wychowywaniem pary maluchów oraz prowadzeniem domu. Jednocześnie rozpoczęły starania o uzyskanie obywatelstwa dla niej i dzieci. Jarek naprawdę był szczęśliwy.

Razem z Gerardem pracowali tego dnia w ekskluzywnym klubie Hagebutten w pobliżu Europa Center na Tauentzienstrasse. Postanowili zostać do wieczora i skończyć wymianę zużytych zaworów w piwnicach klubu. Właściwie była to decyzja Jarka, który chciał mieć tę robotę z głowy, bo Gerard chętnie zerwałby się wcześniej. Ostatecznie jednak, trochę złorzecząc, zgodził się zostać. Gdy około dziewiętnastej przykręcali ostatni zawór, Gerard wybuchnął głośnym śmiechem.

– Wiem już, dlaczego zgodziłem się dzisiaj tu pracować! – powiedział, zadarł głowę do góry i wskazał palcem strop.

– O czym ty mówisz? – Jarka już nie dziwiły żadne wysoki kolegi, ale teraz zupełnie nie domyślał się, o co mu chodzi.

– Stary, właśnie trwa występ Rubika!  
– Kto to jest Rubik? – Jarek nigdy nie słyszał o takim artyście.

– Gdzieś ty się uchował? To taki siedemnastoletni iluzjonista, na dodatek Polak i jest naprawdę n i e s a m o w i t y. Tak ludzie mówią. Dziś w Hagebutten ma swój jedyny w Berlinie występ. Rzuć to! Chodź, wyrzymy na scenę!

Jarek dał się skusić jedynie dlatego, że właściwie prawie skończyli. Wystarczyło zebrać narzędzia i wyjść. Nic się nie stanie, jak przez kilka minut popatrzą na scenę. Ulokowali się w szerokim kanale wentylacyjnym, biegnącym z piwnic aż na strych. Stanęli na rozkładanej drabince i, chociaż we dwóch było im trochę ciasno, mieli doskonały widok przez ażurową kratkę systemu odpowietrzania największej sali klubowej.

Światła na scenie zaczęły przygasać. Słysząc było narastające dźwięki werbli. Wszystko wskazywało na to, że zbliżał się finał występu, w którym wydarzy się coś fascynującego. Pojedynczy reflektor oświetlał stojącego na środku sceny szczupłego chłopaka o niskim wzroście, ubranego w połyskujący frak i cylinder. Wyraz jego twarzy wyrażał największe skupienie. Oczy miał zamknięte, a ręce wyciągnięte przed siebie.

Goście siedzący przy stolikach zaczęli wstawać i kierować się w stronę sceny. Po dwóch minutach utworzyli wokół artysty ciasny krąg o średnicy mniej więcej pięciu metrów. Wszyscy wpatrywali się z napięciem w młodego iluzjonistę.

Werble odezwały się jeszcze głośniejsze, a z dwóch gumowych węży, rozłożonych na podłodze, zaczęły wydobywać się kłęby błękitnego dymu. Po kilku chwilach iluzjonistę przesłaniała już częściowo niebieska mgiełka, która ścieliła się grubym dywanem na scenie. Dym zasłaniał głównie jego nogi, podczas gdy górna połowa ciała była doskonale widoczna w świetle reflektora. Punkt obserwacyjny obu hydraulików znajdował się ponad dwa metry nad podłogą, więc widoku nie zasłaniał im ciasny krąg widzów.

Nie dostrzegli tylko dużej kamery telewizyjnej, ukrytej w mrocznym kącie sceny, która stała na podwyższeniu i z cichym szumem filmowała występ iluzjonisty. Widzowie również nie zdawali sobie sprawy z tego, że są obserwowani przez obiektyw kamery, z której obraz docierał wprost do studia telewizji N3.

Nagle młody magik schylił się, jakby miał zamiar położyć się na podłodze. Na krótką chwilę zniknął z pola widzenia. Gumowe węże przestały jednocześnie tłoczyć dym, który szybko rozwiął się po sali. Iluzjonisty nie było na swoim miejscu. Światło reflektora oświetlało puste wnętrze kręgu.

– Widziałeś to?! – Gerard aż sapnął z wrażenia. – Po prostu wyparował!

Jarek przez chwilę się nie odzywał. Uważnie obserwował scenę. Ponownie zapalono wszystkie światła. Jak na dany znak widzowie ruszyli się ze swoich miejsc i zgodnie zacieśniali krąg, w którym jeszcze przed chwilą był magik. Dotykali podłogi, zadzierali głowy do góry, spoglądając na sufit, i w ogóle sprawiali wrażenie totalnie zdezorientowanych.

– Wielka mi sprawa... – Jarek wzruszył ramionami, schodząc z drabiny. – Technika, chłopie, technika!

– Jaka technika? O czym ty mówisz? – Gerard zszedł zaraz za nim i obaj przysiedli na izolowanej rurze ciepłowniczej.

– Nie wiem dokładnie jaka, ale zastosowano jakiś trik. Nie wywindowano go do góry, bo widzielibyśmy to, a więc... – Jarek potarł w zamyśleniu nieogolony policzek. – Ukryta zapadnia! Po co inaczej byłaby ta cała zasłona dymna?

– Odpada – odparł krótko Gerard. – Widzisz przecież to miejsce pod sceną. Nic tam nie ma. Zresztą chodź, przyjrzymy się temu bliżej.

Wstali i podeszli do miejsca, które musiało znajdować się tuż pod stojącym na scenie iluzjonistą. Rzeczywiście, można tu było zamontować zapadnię, przez którą zdołaliby się w jednej chwili ewakuować nawet kilku magików. Tylko że żadnej zapadni nie ujrzeli. Betonowy strop był całkiem jednolity, w dodatku

pokryty pajęczyną przewodów elektrycznych i kilkoma rurami z ciepłą wodą, które doskonale znali.

– Hmm... – Jarek zmarszczył brwi. – W takim razie musiał się sprytnie prześlizgnąć przez krąg widzów. Może kilkoro z nich było podstawionych i mu to umożliwili? Szkoda czasu, zbieramy się do domu!

– Może... – Gerard nie był przekonany. – Ale przecież my dokładnie wszystko widzieliśmy z góry. Nie miał szans przekraść się niezauważony!

– Dobra, dobra. Tak się tylko wydaje, idziemy!



Wiktor nie mógł usiedzieć na miejscu. Adrenalina rozsądzała go od środka i nie pamiętał, żeby kiedyś był tak podniecony. Energicznymi ruchami przerzucał strony przeglądanych gazet, czując, że zbliża się do rozwiązania. Ostatnie trzy dni miał bardzo pracowite, chociaż od wtorku oficjalnie był na urlopie.

Po powrocie z więzienia długo modlił się przed ołtarzem, aż zaboląły go kolana. Modlitwa przyniosła jednak zamierzony efekt – uspokoił swoje wnętrze i postanowił zrobić wszystko, żeby wyjaśnić niezwyklej przemianę przyjaciela. Wtedy nie wiedział, jak ma to zrobić i od czego zacząć. Całe popołudnie chodził milczący i zamyślony, szukając natchnienia, które nie nadchodziło.

Kiedy złany potem obudził się w środku nocy, czuł, że Bóg wskazał mu ślad. Przypomniał sobie tytuł siedemnastowiecznej książki, wydanej tylko w kilkudziesięciu egzemplarzach dla członków tajnego bractwa magów ówczesnego Konstantynopola. Autor był anonimowy, a książka nosiła tytuł *Sirlar Odasi*, co tłumaczy się jako *Komnata tajemnic*. Jeden z niewielu ocalałych egzemplarzy tej pozycji znajdował się w Bibliotece Jagiellońskiej.

We wtorek rano, zanim jeszcze ksiądz proboszcz udał się do kościoła, aby odprawić poranną mszę świętą, Wiktor

poprosił go o urlop. Zatroškany proboszcz zgodził się bez zadawania dodatkowych pytań i pobłogosławił młodego księdza znakiem krzyża. Jeszcze tego samego dnia rżęjący maluch dowiół Wiktora do Krakowa, gdzie zatrzymał się w znajomym domu zakonnym. Niestety było już późno, dlatego też swoje poszukiwania mógł rozpocząć dopiero w środę.

Najpierw odwiedził Bibliotekę Jagiellońską. Wystarczyła mu godzina pracy nad książką, żeby znaleźć potrzebną odpowiedź. Mimo że tytuł księgi był po turecku, cały tekst napisano w obowiązującej wtedy łacinie. Dziwne. Czyżby znaczący tytuł miał nie rzucać się w oczy? Wrywkowa lektura tej dziwnej księgi wyjaśniła księdzu wiele. Był przerażony! Postanowił jednak nie wycofywać się. Pozostało mu znaleźć ostatnie ogniwo.

Wiktor siedział teraz w klasztornej celi, w której udzieliły mu gościny siostry zakonne. Przerzucał nerwowo strony czasopism. To brakujące ogniwo jest gdzieś w tych gazetach, które tak pilnie przeglądał. Kilka już odłożył na bok, żeby porównać interesujące go notatki z innymi. Wreszcie jego uwagę przykuł duży artykuł w tygodniku „Panorama”. Na kilka minut zatopił się w lekturze. „Tak, to musi być on. Co za nieprawdopodobna historia!” – pomyślał i dokładnie zanotował wszystkie potrzebne informacje.

Zastanowił się i wykonał kopię swoich notatek, a na drugiej kartce opisał dokładnie wszystko to, czego się tego dnia dowiedział. Następnie włożył kartki do koperty, którą ukrył w otworze wentylacyjnym, zasłoniętym plastikową kratką, tuż pod sufitem tego niewielkiego pomieszczenia.

Spojrzał w okno. Letnie słońce właśnie zachodziło. Nie przypuszczał, że spędził tu tyle godzin.



Jarek zaparkował swojego opla kadetta na ulicy przed kamienicą, w której mieszkali. Wysiadł z auta i spojrzał tęsknie



w okna na drugim piętrze. W kuchni się świeciło. „Aneta pewnie czeka z kolacją”. Spojrzał z utęsknieniem i uśmiechnął się do siebie. Wczesny wieczór nie przyniósł jeszcze ochłodzenia – nagrzane mury miasta nie pozwoliły obniżyć temperatury powietrza.

Ochoczo pokonał schody, jakby nie czuł zmęczenia całym dniem pracy. Stał przed drzwiami i nacisnął dzwonek. Żona nie otworzyła drzwi. Spróbował jeszcze dwa razy, ale w środku panowała cisza. Zmarszczył brwi i poczuł ukłucie strachu w piersi. Wyjął swoje klucze i po chwili stał już w ciemnym korytarzu.

– Anetko, kochanie, już jestem! – zawołał, lecz w jego głosie zamiast radosnego tonu pobrzmiwały nuty niepokoju.

W mieszkaniu nadal panowała kompletna cisza. Jarek wpadł do kuchni jak burza i omiółł wzrokiem oświetlone jarzeniówkami pomieszczenie. Aneta siedziała wyprostowana przy kuchennym stole i tępo patrzyła w ciemny prostokąt okna. Wydawała się zatopiona w myślach i zupełnie nieobecna duchem.

– Co... co się stało?! – wycodził wolno ze ściągniętą twarzą, pewien, że dotknęło ich jakieś nieszczęście.

Żona nie reagowała i nie zmieniła pozycji. Przypominała posąg zainstalowany w odpowiedniej scenerii, gloryfikującej rolę gospodyni domowej. Pewne elementy jednak do niej nie pasowały – pusty stół, wygaszona kuchenka czy piekarnik oraz wyprostowane ręce, opuszczone wzdłuż tułowia ku dołowi.

Nagle odwróciła głowę i spojrzała na niego. Jej oczy nie były jej oczami! Cudowny błękit tęczówek przybrał teraz barwę brudnego lodu i emanował przerażającym chłodem. Oczy Anety były puste i pozbawione wyrazu, jak u manekina. Jarek poczuł s t r a c h. Ogarniał go całego i ścisnął wnętrzności, a niewidzialna kula rozrastała się w jego gardle.

– Chodź, kochanie! – Aneta powiedziała te słowa nie swoim głosem, po czym wstała i wolnym krokiem podążyła w kierunku pokoju dzieciennego.

Jarek, któremu cała krew odpłynęła w dolne partie ciała, powlókł się za żoną. Aneta, nie oglądając się za siebie, wolno otworzyła drzwi upstrzone niezliczonymi naklejkami z Kaczorem Donaldem i Myszką Miki. Weszła do środka i zapaliła światło.

W centralnym punkcie sufitu, pomalowanego, podobnie jak ściany, na jasnożółty kolor, zwisał duży, czteroramienny żyrandol wykonany z solidnego, kutego żelaza. Jarek sam z pomocą przyjaciela wieszał go, jak się tu wprowadzili, na mocnym haku, zdolnym utrzymać mały samochód. Żyrandol znaleźli w piwnicy i od razu bardzo im się spodobał. Podobnie jak całą kamienicę wykonano go w latach dwudziestych. Oboje z żoną poświęcili kilka wieczorów na jego odnowienie i teraz prezentował się bardzo okazale.

W pierwszym momencie przetarł oczy ze zdumienia, bo nie był zdolny uwierzyć w to, co zobaczył. Ponowne otwarcie oczu utwierdziło go jednak w tym, że to nie jest makabryczny żart, ale koszmarna rzeczywistość. Na przeciwnych ramionach żyrandola zawieszane były kawałki kolorowego sznura od bielizny, zakończonego pętlami. Pętle te zaciskały się na... szyjach Kuby i Martyny! Dwa drobne ciała zwisały bezwładnie pół metra nad podłogą. Ich zsiniałe twarzyczki były nabrzmiałe i naznaczone nieprawdopodobnym bólem.

Aneta stanęła pomiędzy ciałami ich dzieci i odwróciła się do męża. Jej sztuczną twarz wykrzywił rodzaj szatańskiego uśmiechu. Drobne, równe zęby, z których tak była dumna i które on tak kochał, wydały mu się teraz podobne żółtym kłom drapieżnika. Gdzieś przez głowę przemknęła mu myśl, że już widział taki obrazek. Łudząco przypominał sfotografowanych esesmanów przy ciałach swoich ofiar.

Mięśnie obu jego nóg nagle zanikły i zamieniły się w watę. Runął na podłogę przykrytą dywanem w wesołe wzory postaci z bajek. Zaczął tłuc pięściami w miękką wełnę dywanu. Aneta nie ruszała się z miejsca. Diabelskie zadowolenie nie schodziło z jej twarzy. Dopiero po chwili pokój oraz całe mieszkanie

wypełnił przejmujący krzyk bólu i rozpaczy, wydobywający się z gardła leżącego mężczyzny.

– Niiieeeeeee...



*Sobota, 26 sierpnia*

– Pociąg pospieszny z Berlina do Moskwy wjeżdża na tor dwunasty przy peronie czwartym. Wagony zatrzymują się w następujących sektorach... – Monotonny głos zapowiadający przyjazd pociągu brzmiał chrapliwie, ale zrozumiale.

Wiktor, oparty łokciami o barierkę na antresoli, zaczął przyglądać się z góry peronowi, na który miał zaraz wjechać pociąg. Dworzec Centralny w Warszawie był o tej porze bardzo zatłoczony i mnóstwo ludzi przebywało również na czwartym peronie, skąd za kilkanaście minut odjeżdżał inny skład. Część z nich oczekiwała także na pospieszny z Berlina, a stojący w grupach Rosjanie i Białorusini pojedą nim dalej, w kierunku Moskwy.

Sutannę zostawił na plebanii w Kocianowicach. Uznał, że im mniej będzie się rzucał w oczy, tym lepiej. Długi skład pociągu do Moskwy wjeżdżał na peron. W większości były w nim zielone rosyjskie wagony sypialne, tylko na końcu doczepiono trzy polskie z miejscami siedzącymi. Po zatrzymaniu wszystkie drzwi w wagonach PKP otworzyły się z rozmachem i na peron zaczęły wychodzić podróżni, przepychając się ze swoimi pustymi torbami i plecakami. Zawartość tych bagaży została sprzedana na Potsdamer Platz albo w licznych parkach Berlina Zachodniego.

Kiedy już większość podróżnych została wypluta z polskich wagonów, z ostatnich drzwi wyszedł szczupły, młody chłopak, ubrany w kraciatą koszulę z krótkimi rękawami i dżinsy. Połowę twarzy zakrywały mu okulary przeciwsłoneczne, a w ręku trzymał drogą, skórzaną walizkę. Po opuszczeniu wagonu stanął i rozejrzał się bacznie po peronie, jakby na kogoś czekał.

Po chwili jednak pomaszerował sprężystym krokiem w kierunku ruchomych schodów.

Wiktor pożerał go wzrokiem. „To musi być on!” – pomyślał. Postanowił nie ruszać się z miejsca, mimo iż za chwilę chłopak miał przejść obok niego. Wciąż nie miał żadnego planu, po prostu postanowił zobaczyć, dokąd tamten pojedzie lub pójdzie.



Ten młody iluzjonista był jego oczkiem w głowie. Teraz już wiedział, że będzie on najbardziej obiecującym obiektem ze wszystkich podopiecznych. Inni to płotki, podczas gdy ten chłopak może zejść bardzo daleko. Nie myślał oczywiście o jego sukcesach estradowych, te były tylko środkiem do realizacji naprawdę ważnych celów. Uśmiechnął się na myśl, że szczupły nastolatek nawet nie zdaje sobie sprawy, komu faktycznie służy. Pewnie nie pamięta już swojej „terapii” sprzed sześciu lat i w ogóle nie widzi związku tamtego wydarzenia ze swoimi obecnymi sukcesami. Jeszcze nie wie, że za jakieś dwadzieścia, trzydzieści lat dostąpi zaszczytu Wtajemniczenia. Potencjał ma naprawdę duży. Może nawet obejmie jego funkcję.

Alfred, kiedy tylko miał czas, starał się obserwować chłopaka na żywo. Taka potrzeba przywiodła go też tego dnia na Dworzec Centralny. Przebrany w znoszony mundur kolejarski, ścisnął pod pachą poprzecieraną teczkę. Ten pospolity kamuflaż zapewniał mu całkowitą anonimowość i swobodę poruszania się po terenie dworca.

Od kilku minut podążał śladami chłopca, przepychając się często przez gęstniejący tłum podróżnych. Iluzjonista najpierw zatrzymał się na chwilę przed kioskiem Ruchu, gdzie kupił gazetę, a potem usiadł na plastikowym krześle, popijając jakiś kolorowy napój. Widocznie był bardzo spragniony, bo butelka została opróżniona w mgnieniu oka. Zaraz potem wstał i ruszył w kierunku wyjścia z dworca.

Od momentu gdy iluzjonista wyjechał ruchomymi schodami z peronu, coś nie dawało Alfredowi spokoju. Do tej pory nie wiedział, co to takiego. Dopiero teraz, gdy jego protegowany wstał z krzesła i oddał pustą butelkę do okienka, od razu zorientował się, co było nie tak. Ktoś śledził chłopaka! Tak, nie miał już żadnych wątpliwości. Młody, bardzo przystojny blondyn wprost pożerał iluzjonistę wzrokiem i szedł za nim krok w krok. „Czyżby jakiś pedał?” – intensywnie myślał Alfred, posuwając się wolno kilkanaście metrów za blondynem.

Analizując w myślach całą sytuację, doszedł do wniosku, że to jednak niemożliwe. Pederasta doszedłby po prostu do chłopaka i próbowałby go zagadać. Blondyn ma jakiś ukryty cel i nie jest to zwykłe uwielbienie zdolnego artysty. Zobaczył to w jego oczach. Niedobrze!



Wiktor zastanawiał się, co by było, gdyby po prostu podszedł do magika i spróbował z nim porozmawiać. Tylko co miałby mu powiedzieć? Gdyby choć wspomniał o swoich podejrzeniach, tamten posłałby go do diabła albo – jeszcze lepiej – do wariatkowa. Wiktor zakładał oczywiście, że chłopak jest nieświadomy roli, jaką odgrywa. „A co, jeśli jest świadomy?”. Na samą myśl o takiej możliwości oblał go zimny pot i bezgłośnie wyszeptał *Ojcze nasz*.

Tak czy owak, taka próba oznaczałaby tylko jedno – totalną porażkę na samym starcie. Musi mu się dokładniej przyjrzeć, jak najlepiej poznać jego środowisko, zwyczaje, zaprzyjaźnić się z jego znajomymi. Tak, to była właściwa droga! Cierpliwość jest cnotą. Podziękował w myślach Bogu za dar opamiętania.

Iluzjonista cierpliwie czekał w kolejce po taksówkę. Wyraźnie starał się nie wyróżniać z tłumu. Wiktor nie zauważył, żeby ktokolwiek go rozpoznał i próbował poprosić na przykład o autograf. Młody magik nie zabiegał więc o takie uwielbienie tłumu. Wiktor nie wiedział, czy to dobra, czy zła wróżba.

Podjechał biały polonez, iluzjonista wsiadł, a Wiktor rozglądał się nerwowo za następnymi taksówkami. Przed nim w kolejce stał jeszcze starszy, otyły mężczyzna, nawet na powietrzu roztaczający wokół siebie intensywną woń skisniętego potu. Polonez z magikiem skręcał właśnie w kierunku Alei Jerozolimskich.

Nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, podjechały jednocześnie trzy taksówki. Dwa duże fiaty i dacia. Wiktor, nie namyślając się długo, rzucił się do drzwi brudnozielonej dacji. Kierowca na szczęście był młody i energiczny. Nie musiał mu dwa razy powtarzać. Już po chwili ruszyli w ślad za polonezem.



Od chwili wyjazdu z Centralnego ani na chwilę nie stracił z oczu dwóch interesujących go taksówek. Jedną jechał jego podopieczny, a druga podążała w ślad za polonezem, oddzielona od niego co najwyżej dwoma samochodami. Taksówkarz dacji najwyraźniej bał się, że śledzony samochód zniknie mu niezauważony.

Alfred był bardzo skoncentrowany, ale spokojnie obserwował rozwój wypadków z siedzenia swojego mercedesa, który sunął za dwiema taksówkami, podążającymi niewątpliwie w kierunku mieszkania iluzjonisty. W chwili, kiedy blondyn wsiadł do swojej taksówki, on już uruchamiał sześciocyndrowy silnik, gotów w każdej chwili do wyjazdu z dworcowego parkingu. Bez niespodzianek wydostał się na Aleje Jerozolimskie, mając dacie cały czas w zasięgu wzroku.

Czterdzieści minut pokonywania „skokami” ulic Warszawy dało mu mnóstwo czasu na myślenie. Niestety wciąż był niezadowolony ze swoich wniosków. Właściwie to nie miał żadnych, bo każdą z możliwości, które rozważał, uznał w końcu za nieprawdopodobną. Blondyn wciąż pozostawał dla niego zagadką i coraz bardziej mu się to nie podobało.

Polonez z iluzjonistą zatrzymał się, zgodnie z jego przypuszczeniami, pod jednym z bloków na peryferiach Ursynowa. Kilkadziesiąt metrów dalej stanęła dacia. Alfred również zaparkował swojego mercedesa przed następnym blokiem i niezwłocznie wysiadł. Przystanął przed wejściem do najbliższej klatki schodowej i skupił się na obserwacji poczynań blondyna.

Ten wysiadł z dacji, kiedy tylko młody iluzjonista zniknął w drzwiach swojego bloku. Już na pierwszy rzut oka widać było, że blondyn nie jest profesjonalistą i nigdy nie miał do czynienia z żadnymi służbami policyjnymi czy wywiadowczymi. Rozglądał się wokoło wyraźnie zagubiony i widać było, że zupełnie nie wie, co ma dalej zrobić. W końcu przeszedł na drugą stronę ulicy i usiadł na ławce wewnątrz podziurawionej, blaszanej wiaty przystanku autobusowego. Niewątpliwie blondyn miał stamtąd dobry widok na blok, w którym mieszkał chłopak.

Alfred przez dłuższą chwilę obserwował uważnie siedzącą postać, która ani na chwilę nie odwróciła głowy od szarego bloku. Wreszcie uśmiechnął się do swoich myśli i niespiesznym krokiem podążył w kierunku przystanku. Nieliczni przechodnie, nie zwracając na nic uwagi, szybko szli do swoich betonowych klatek. Nikt nie zatrzymał się przy przystanku ani w jego pobliżu.



Jeszcze nigdy Berlin nie wydawał się Jarkowi tak obcy i odpychający. Nie pamiętał już, o jakiej porze wyszedł z mieszkania Gerarda, w którym mieszkał od czasu... tego koszmaru. Właściwie to niewiele pamiętał z ostatnich dwóch dni, w czasie których nie wiedział, czy żył, czy tylko mu się tak wydawało. Surowe miny przesłuchujących go policjantów, sympatyczna fizjonomia policyjnego psychologa, którym była miła kobieta w średnim wieku, rozmawiająca z nim po polsku, wytrzeszczone

oczy i drżące dłonie Gerarda, który nie wiadomo skąd pojawił się na komisariacie i zawiózł go do swojego mieszkania – nie miał pojęcia, które z tych obrazów widział naprawdę, a które mu się tylko śniły.

Potem, wpatrzony w brudną ścianę kawalerki Gerarda w czynszowej kamienicy w odległym Spandau, rejestrował już coraz mniej zewnętrznych bodźców. Krótkie godziny ciężkiego snu przerywane były pojawianiem się wciąż wystraszonej twarzy przyjaciela, który czasami coś mówił, a najczęściej podsuwał mu kanapki, colę albo gorącą kawę. Nie dałby pięciu fenigów za to, że była to rzeczywistość.

Jeszcze dwa dni temu Jarek był energicznym młodym człowiekiem. Przeciętneho wzrostu, z zawsze krótko obciętej włosami barwy kawy z mlekiem, emanował wiarą w swoją szczęśliwą gwiazdę. Piwne oczy zawsze iskrzyły, a wnikliwy obserwator dostrzegał w nich prawdziwą radość z życia i miłość. Miłość do Anety, Kuby, Martyny i w ogóle do całego świata.

Dziś jego potargane, posklejane w strąki włosy znaczyły liczne pasma siwizny. Wyblakłe, podkrążone oczy patrzyły bez wyrazu na miasto, które kiedyś miało stać się jego własnym eldorado.

Gęstniejący, różnobarwny tłum, w którym coraz częściej o kogoś się ocierał, sprawił, że znów zaczął rejestrować jakiegokolwiek bodźce. Zauważył, że dotarł na krzykliwą i bezwstydnie obnażającą swoje bogactwo Kurfürstendamm.

Jarek zatrzymał się i skierował swój wzrok na wielką, lśniąca szybę wystawową jakiegoś sklepu ze sprzętem RTV. Odbicia podążających chodnikiem przechodniów o roześmianych twarzach były wyraźnie widoczne w lekko przyciemnionym szkle.

Wydawało mu się, że wszystkie te twarze w różnych kolorach, od skandynawskiej białości po hebanową czerń wprost z serca Afryki, wykrzywiają się w przerażających grymasach sług anioła ciemności. Te ruchome obrazy jawiły mu się niczym odarty z eleganckiej fasady prawdziwy obraz piekła.



Zadrzał.

Migające zupełnie innymi wyobrażeniami świata liczne ekrany telewizorów zachęcały do wejścia i wydania swoich oszczędności na nowe pudło serwujące iluzję i składające nigdy niespełniane obietnice.

Coś na tych ekranach przykuło jego uwagę. Wszystkie przekazywały obraz z widocznym w prawym, górnym rogu logo – N3. Poniżej widniał napis: *Wiederholung*<sup>1</sup>. Jarek nagle oparł się obiema rękami o szybę i uważnie zaczął obserwować sceny rozgrywające się na ekranie najbardziej okazałego telewizora.

Zdumiało go nie to, że telewizja pokazywała występ młodego iluzjonisty, który obserwował z kolegą z ukrycia. Coś innego nie dawało mu spokoju. Jakby ten estradowy występ miał jakiś związek z jego osobistą tragedią.

Wyteżył uwagę. Nie widział już odbić demonów w szybie. Pojedynczy reflektor silnie oświetlał skoncentrowanego iluzjonistę. Pojawiły się kłęby tłoczonego na scenę dymu. Iluzjonista na krótką chwilę odwrócił się w stronę ukrytej w mrocznym kącie kamery. Jarek dałby głowę, że uśmiechnął się zjadliwie do... niego. Potem szybko pochylił się i zniknął ze sceny w ścielącej się nad podłogą chmurze siwego dymu.

R u b i k. „Co to, kurwa, znaczy?”.

Jarek poczuł, że brakuje mu tchu. Niezrozumiałe uczucie zdawało się dusić go od środka. Pociemniało mu przed oczami i osunął się bezwładnie na chodnik. W tej samej sekundzie stracił przytomność.

Nie widział już, jak po chwili wokół niego zebrał się mały tłum. Ktoś szybko wbiegł do sklepu, żeby zadzwonić po pomoc. Nie widział też migającej światłami karetki pogotowia, która po kilku minutach wjechała na szeroki trotuar, wprowadzając zamieszanie wśród licznych przechodniów.

---

<sup>1</sup> *Wiederholung* (niem.) – powtórka.



– Proszę pana! Młody człowieku, co się panu stało?

Otyła kobieta o poszarzałej z nadmiaru trosk nalanej twarzy postawiła swoje dwie ciężkie siatki obok drewnianej ławki wewnątrz wiaty przystanku. Torby te wypchane były wystanymi w kolejkach „łupami” z Hali Mirowskiej.

– Co się stało? – zapytał mężczyzna w średnim wieku, ale za to z wydatnym brzuchem, który opinał odslaniający pępek przepocony podkoszulek.

– Nie wiem, leży bez ruchu. Jest nieprzytomny – odpowiedziała kobieta, nie odwracając wzroku od bezwładnego ciała leżącego na ławce.

– Eee tam. Zaprawił się na fest i tyle. – Mężczyzna wzruszył ramionami i spojrzął w kierunku, z którego miał nadjechać autobus.

– Nie, on wcale nie jest pijany, przecież czuję! – Kobieta była wyraźnie zdezorientowana.

Na przystanek zaczęli przychodzić kolejni ludzie. Zbliżała się pora odjazdu autobusu do centrum miasta. Wywiązała się ożywiona dyskusja. Wszyscy z zainteresowaniem oglądali przystojnego blondyna, leżącego bezwładnie na ławce. Większość opowiedziała się za wersją: nawalony ćpun. Nikt natomiast nie kwapił się, żeby pobiec do bloku w poszukiwaniu telefonu.

Na szczęście po upływie minuty ulicą wolno przejechał milicyjny fiat. Aż cztery osoby rzuciły się ochoczo, żeby zatrzymać radiowóz, głośno wzywając pomocy. Milicjanci wysiedli i dokładnie przyjrzeni się nieprzytomnemu. Wreszcie wrócili do swojego fiata i powiadomili pogotowie.

Alfred obserwował tę scenę, siedząc wygodnie w swoim mercedesie. Narastało w nim uczucie irytacji. Miał tylko nadzieję, że blondyn odwali kite, zanim zaczną go reanimować lekarze z pogotowia. Czuł krople potu, które zrosiły jego wysokie czoło. Wiedział, że zrobił dokładnie to, co trzeba było zrobić.

Na chwilę błady uśmiech wykrzywił lekko jego ściągnięte wargi, kiedy przypomniał sobie siebie w akcji przed niespełna piętnastoma minutami.

– Przepraszam pana, czy będzie teraz jakiś autobus do Śródmieścia? – zapytał wtedy grzecznie mężczyznę i usiadł obok, nie czekając na odpowiedź.

Tamten coś zaczął bąkać pod nosem przepaszającym tonem, z którego wynikało, że nie ma bladego pojęcia o rozkładzie jazdy, a siedzi tu tylko przypadkowo. Kiedy uszy zaczerwieniły mu się niczym odwłok świeżego raka we wrzątku, Alfred wiedział już, że to nowicjusz, i postanowił nie zwlekać, tylko skończyć sprawę raz na zawsze.

– Wie pan – zaczął, wpatrując się w blondyna swoim hipnotyzującym wzrokiem – muszę panu coś opowiedzieć, inaczej zwariuję! Mam nadzieję, że poświęci mi pan kilka minut. Proszę! – ciągnął, nie odwracając ani na chwilę wzroku od jego źrenic.

Tymczasem w drugiej ręce Alfreda, niby przypadkiem, kołysał się duży, dziewiętnastowieczny zegarek na długim srebrnym łańcuszku. Blondyn nie doczekał nawet początku opowiadania, szybko wpadł w głęboki trans.

Kiedy Alfred uznał, że dotarł już do samej czeluści młodego organizmu mężczyzny, wznosił się na wyżyny swojej sztuki. Naczynka doprowadzające krew do mózgu blondyna rozszerzyły się nagle tak, jakby ten zażył śmiertelnie niebezpieczną dawkę amfetaminy. Ciśnienie krwi rozerwało je bezlitośnie i tętnicza krew dosłownie zatopiła większą część mózgu mężczyzny.

Kiedy teraz Alfred przypominał sobie wszystkie te szczegóły, samopoczucie znów mu się poprawiło. Szanse na uratowanie życia tego naiwnego szpicla były tak małe, jak wygrana w totołotka. Nawet gdyby jakimś cudem przeżył, nigdy nie odzyska świadomości.

Przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik przyjemnie zamruczał. Czerwony ikarus właśnie odjeżdżał z przystanku, obok

którego czekali tylko milicjanci. Gdy po rżącym autobusie opadł kurz, przy blaszanej wiacie zatrzymała się biała nysa pogotowia ratunkowego.

Spojrzał na zegarek. „Niemożliwe” – pomyślał i ruszył z piśkiem opon. Bardzo rzadko korzystał ze swojego daru, żeby zabijać. Uważał to wręcz za marnotrawstwo. Śmierć powinna zbierać swoje żniwo w bardziej wyrafinowany sposób...